

Sebastian
Keller

NIEBO

**PIĘĆ LAT
W SEKCIE**



OTWARTE
KRAKÓW 2025

POCZĄTKI

Zadaję sobie dziś pytanie: jak potoczyłoby się moje życie, gdybym nie trafił do sekty? Ile zła wyrządziła ona w moim życiu? Czy musiałem tam trafić?

Byłem młodym chłopakiem, miałem dziewiętnaście lat, gdy matka zawiozła mnie na leczenie do bioenergo-terapeuty Bogdana Kacmajora. To była okazja, bo przyjechał właśnie leczyć do miejscowości oddalonej od nas o kilkanaście kilometrów.

Pojechaliśmy we trójkę: ja, mama i mój młodszy o dziewięć lat brat. Kolejka do domu, w którym przyjmował Bogdan, była ogromna. Ustawiliśmy się i czekaliśmy. Moja mama nie pierwszy raz była z wizytą u znachora z Morąga. Wreszcie nadeszła moja kolej. Oprócz Bogdana na ganku, na którym przyjmował, był jego pomocnik, Andrzej.

– Cześć, zawałowiec – powiedział do mnie na powitanie Bogdan. – Ale masz bóle zawałowe, w takim

młodym wieku. Niedługo pójdziesz do piachu – zażartował.

Miał rację. Rzeczywiście z sercem miałem największe kłopoty, ciągle bóle z lewej strony klatki piersiowej i duszności.

– O, a jakie lęki – dodał.

Rzeczywiście lęki też miałem, i to dosyć duże.

Bogdan Kacmajor sprawiał wrażenie fajnego faceta, trochę tajemniczego, z dużym poczuciem humoru. Miał około stu siedemdziesięciu centymetrów wzrostu, czarne włosy i trochę skośne oczy. W tych oczach było coś niesamowitego – ogromna pewność siebie i jakaś wewnętrzna radość. Nałożył mi ręce na głowę – pod jego dłońmi czułem ciepło. Wyliczał też inne moje choroby, choć nie przypominałem sobie, aby mi dokuczały. Mimo to Kacmajor zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie, odebrałem go jako miłego człowieka.

Wizyta trwała jakieś piętnaście minut. Powiedziałem mu – albo zrobiła to moja mama, nie pamiętam – że właśnie zdałem egzaminy na dwuletni kurs instruktora teatru lalek na Uniwersytecie Ludowym w Błotnicy Strzeleckiej niedaleko Strzelec Opolskich. Był wrzesień 1990 roku (w czerwcu zdałem maturę), a ponieważ nie dostałem się na Uniwersytet Warszawski na polonistykę, wybierałem się do tego studium. Ale nie bardzo chciałem tam jechać. Może dlatego, że było to bardzo daleko od domu. Mieszkalem w północnej Polsce, a miałem

przenieść się aż na Śląsk. Bogdan zachęcał mnie, abym jechał do tej szkoły, powiedział, że sam był dyrektorem Teatru Lalek w Elblągu, skąd pochodził, i że też interesuje się teatrem.

Byłem u niego jeszcze dwa razy. Podczas seansu bioenergoterapeutycznego nakładał mi ręce na głowę i „leczył”. Nie wiem, czy czułem się lepiej po tych wizytach. Na pewno czułem się lepiej duchowo, byłem pewniejszy siebie. Może dlatego, że zawsze chciałem, aby ktoś nade mną czuwał, ktoś, kto nie pozwoliłby, by stała mi się krzywda, kto, nawet będąc daleko, będzie o mnie myślał i wtedy wszystko będzie dobrze. Tym duchowym opiekunem stał się Bogdan. Zaprosił mnie do siebie do miejscowości Majdan Kozłowiecki niedaleko Lubartowa, trzydzieści kilometrów od Lublina. Opowiadał o domu, w którym mieszka wraz z przyjaciółmi, gdzie mają czterdzieści hektarów ziemi, jeżdżą po Polsce, leczą ludzi i żyją spokojnie, jak dawni chrześcijanie. Zresztą Kacmajor siebie i Andrzeja nazywał „apostołami”, co, przyznam, mnie dziwiło.

W październiku pojechałem na Śląsk. Po czterdziestu minutach od wyjazdu z Gliwic pociąg zatrzymał się na stacji Błotnica Strzelecka. Okolica była piękna, mała stacja między Gliwicami a Opolem. Idąc szosą od dworca, zauważyłem duży park otoczony wysokim murem. Piękna jesień, brama wprowadziła mnie w uroczą alejkę. Na jej końcu znajdował się mały dworek. Tu

mieściła się szkoła i internat. Na dole znajdowały się pokoje mieszkalne i stołówka, na górze sale, w których odbywały się zajęcia, oraz sala ze sceną do przedstawień. Ogólnie było nas około dwudziestu osób. Wykładowcy przyjeżdżali z Opola i z Wrocławia. Rok spędzony w tej szkole to był piękny czas, kiedy młodość, miłość i radość życia przeplatały się z zajęciami teatralnymi. Szczególny okres rozkwitu nadszedł wiosną, kiedy przyroda rozbudziła wszelkie młodzieńcze marzenia. Mając dwadzieścia lat, czułem się szczęśliwy, spełniony i odpowiedzialny za swoje życie jak nigdy wcześniej i nigdy później. Pierwsze dziewczyny: Julita, Magda, pierwsze rozczarowania także.

Ale pojawiła się kolejna choroba i to, jak myślę, zażyło na tym, że porzuciłem szkołę po pierwszym roku i w sierpniu 1991 roku wyjechałem do zboru chrześcijańskiego w Majdanie Kozłowieckim.

Nie mogąc się wyleczyć w wielu poradniach, zbywany przez lekarzy i traktowany bardzo powierzchownie, po pomoc zwróciłem się do Bogdana Kacmajora, w nim widząc jedyną nadzieję dla swojego obolałego ciała.

**PIERWSZA WIZYTA
W ZBORZE**

Była połowa marca 1991 roku. Wsiadłem z pociągu, który przywiózł mnie z Katowic do Lublina, i szukałem na stacji jakiejkolwiek informacji, jak dojechać do Majdanu Kozłowieckiego – bezskutecznie. W końcu za radą jakiegoś starszego pana wsiadłem do autobusu, który miał mnie zawieźć na miejsce. Wsiadłem na małym przystanku, ale okazało się, że jestem nie w Majdanie Kozłowieckim, lecz w Kozłówce, która słynie z pięknego i znanego w Polsce pałacu oraz znajdującego się w nim Muzeum Zamoyskich. Na szczęście rolnik, którego spotkałem, wiedział, gdzie leży Majdan, tyle że trzeba było iść na piechotę siedem kilometrów przez pola i lasy. Było mi tak zimno w głowę, że owinałem ją rękawnikiem wyjętym z plecaka, bo nie miałem czapki.

Za kolejną leśną drogą wyłoniła się w końcu jakaś osada. Jej mieszkańcy pokazali mi, gdzie znajduje się dom znachora. Po przejściu jeszcze kilometra szosą zobaczyłem

wyłaniający się zza drzew przepiękny duży dom. Dwupiętrowy, otoczony z czterech stron lasem, wyglądał sielsko. Gdybym wtedy wiedział, że ten piękny teren zamieni się w obóz koncentracyjny dla jego mieszkańców, tyle że bez drutów! Na przywitanie podbiegł do mnie ogromny pies o imieniu Cygan. Na rozkaz znajdujących się na podwórku domowników zostawił mnie w spokoju. Podszedłem bliżej i zobaczyłem znanego mi mężczyznę w kapeluszu, sadzącego drzewka w ogrodzie. Był to Bogdan.

– O, jest nasz aktor – powiedział. – No, nareszcie zawitałeś do nas.

Byłem trochę przerażony nowym miejscem, nowymi ludźmi, sytuacją. Przyjechałem tam na weekend, bo już w poniedziałek musiałem być z powrotem w szkole.

Kiedy wszedłem do domu, powitała mnie żona Bogdana, Grażyna. Była to kobieta wysoka, postawna, o szlachetnej twarzy, miała około trzydziestu lat. Bogdan miał wtedy trzydzieści siedem. Mieli dwóch synów: trzyletniego Eliasza i dwuletniego Mateusza. Grażyna była wówczas w ciąży z trzecim synem, Samuelem. Bogdan miał jeszcze starszego syna – z poprzednią żoną, Małgorzatą, ośmioletniego Dawida, mieszkali w Elblągu. To był bardzo sympatyczny chłopak. Poznałem go, gdy w trakcie wakacji przyjechał do Majdanu. Grażyna była trzecią żoną Bogdana i pochodziła z Lublina. Studiowała we Wrocławiu, ukończyła dwa kierunki: pedagogikę i muzykologię.

Prawą ręką Bogdana był Andrzej, bardzo przystojny, wysoki facet około trzydziestki. Jego żona Marta była bardzo miłą kobietą o anielskiej twarzy. W tym czasie starali się o adopcję dwójki dzieci, ponieważ własnych mieć nie mogli. Kiedy na stałe przenieśliśmy się do Majdanu, dzieci – dwóch braci – mieszkały już z nami.

Przy stole w kuchni na wysokim stołku siedziała kobieta. Wyglądała na sparaliżowaną, z wykręconymi rękoma. Była to Eliza, która cierpiała na gościec stawowy. Zapamiętałem bardzo dobry obiad, biegające dzieci i serdeczną atmosferę.

Wieczorem, siedząc w salonie, czytałem książkę *Roman* – wspomnienia Romana Polańskiego, które przywiozłem ze sobą. Podszedł do mnie Andrzej i powiedział, że nie powinienem czytać takich rzeczy, że to nic dobrego mi nie przyniesie, i zapytał, co planuję w życiu dalej robić. Odparłem, że w czerwcu chciałbym zdać jeszcze raz na polonistykę, a jeśli mi się nie uda, to skończyć studium aktorskie. Zapytał, po co mi te studia, i dodał, że on sam pięć lat studiował biologię, ale miesiąc przed obroną pracy magisterskiej za namową Bogdana rzucił je, a teraz leczy ludzi i studia nie są mu do niczego potrzebne. Bogdan natomiast zawsze chwalił się tym, że jest tylko po podstawówce, bo rzucił szkołę średnią, i brak wykształcenia w niczym mu nie przeszkadza.

Później zauważyłem, że na stole w kuchni ustawia się szklanki i nalewa do nich wino. Pomyślałem: fajnie,

trochę tu sztywno, więc zapowiada się mała imprezka. Nic z tych rzeczy. Wyjaśniono mi, że odbędzie się wieczerza. Każdy dostał szklanekę z odrobiną wina i kawałek chleba – stanowiło to posiłek spożywany każdego wieczoru. Były to jakby krew i ciało Jezusa Chrystusa, które miały nam dawać siłę tak, jak daje ją komunია święta.

Podczas wieczerzy wydarzyło się coś dziwnego. Dziewczyna o imieniu Karolina zaczęła opowiadać, jaką ma wizję. Wyjaśniono mi, że Karolina ma widzenia i że inni też widzą różne rzeczy, na przykład kolory duchów na ścianie. Tłumaczono to Nowym Testamentem, w Listach Apostolskich jest bowiem napisane, że prawdziwi chrześcijanie otrzymają dary Ducha Świętego. W Kościele katolickim nie ma tych darów, więc Kościół kłamie. W zborze Kacmajora są, więc członkowie zboru są prawdziwymi chrześcijanami. Jest tu dar leczenia „Duchem Świętym” poprzez nakładanie rąk, dar rozróżniania duchów poprzez widzenie kolorów, dar widzeń, dar prorokowania. Każdy przebywający w zborze po pewnym czasie otrzymywał dar widzenia duchów, czyli kolorów. Na zadane przez siebie pytanie otrzymywał od ducha odpowiedź w postaci widzenia koloru, każdy kolor zaś coś oznaczał. Na przykład czerwony – chorobę, agresję, złość, jasnozielony – nadzieję, ciemnozielony – przywiązanie do dóbr materialnych, żółty – zdradę, jasnoniebieski – prawdę, a ciemnoniebieski – kłamstwo.

Byłem pod wrażeniem tego wszystkiego, zwłaszcza Karoliny, dziewczyny w moim wieku, która dostała się na studia bez egzaminów ze względu na bardzo dobre oceny, ale zrezygnowała z nich, gdy poznała Kacmajora. Bogdan zawsze powtarzał: „Kto dużo zostawił w tym świecie, ten wiele otrzyma od Pana Boga”.

Bogdan mówił także: „Nigdy nie słuchaj mnie. Słuchaj Pisma Świętego i tego, co mówił Pan Jezus, a nie mnie. Ja sobie tego nie wymyśliłem, na wszystko, co mówię, znajdziesz potwierdzenie w Biblii”.

„Tamten świat” to wszyscy poza zbojem w Majdanie, a naród wybrany to ludzie znajdujący się w tym domu – tłumaczył. A będzie ich sto czterdzieści cztery tysiące. Wówczas zacznie się Państwo Tysiącletnie Chrystusa na ziemi, tutaj, w Majdanie. Chodzi o to, aby zgromadzić wybranych. Na zewnątrz zapanują wojny, głód, zaraza, a tylko tu, za bramą Państwa Tysiącletniego, będzie pokój i dostatek. Oczywiście będzie z nami mieszkał Chrystus. Na przekór chyba samemu Kacmajorowi stało się zupełnie odwrotnie. Tam, na zewnątrz, był pokój, normalność i dostatek, a tu, w tym domu, on doprowadził nas do nędzy, głodu i sam co dzień wywoływał kolejne wojny, zamieniając to miejsce w istne piekło. Mówił także, że tu odradzają się prawdziwi chrześcijanie, że Kościół katolicki to zgniła instytucja, w której grubi księża wzbogacają się na cudzej biedzie. Mówią o jakimś czyścicu po śmierci, a w Apokalipsie jest napisane:

„Bądź zimny albo gorący, bo inaczej wypłuję cię z ust swoich...” (por. Ap 3, 15–16).

Guru tłumaczył, że po śmierci jest albo niebo, albo piekło, innej alternatywy nie ma, chyba że wypłucie z ust Bożych, czyli wymazanie duszy, nieistnienie. Lepiej trafić do piekła niż być wypłutym, ponieważ Bóg jest miłosierny i kiedyś wypuści dusze z piekła, przebaczy im. A jeśli dusza zostanie wypłuta, to już nigdy nie będzie istnieć, i to jest najgorsza kara. Wypłuty zostanie człowiek letni, czyli ani zły, ani dobry. Kacmajor powtarzał, że lepiej być złym niż letnim. Złego zawsze można przestawić na dobre tory, a z letnim nie da się nic zrobić. To część filozofii sekty Niebo, która tę nazwę przyjęła dopiero rok lub dwa po moim przyjeździe.

Gdy teraz opisuję te jego herezje, ciarki przechodzą mi po plecach i dziękuję Bogu za każdy dzień poza sektą, a w szczególności poza wszechwidzącym okiem Kacmajora.

Podczas tej pierwszej wizyty w Majdanie Kozłowieckim czułem się skołowany. Oczywiście Bogdan nałożył mi ręce na głowę, co było dla mnie najważniejszym celem podróży. Chciałem, aby wyleczył mnie z dolegliwości i dał mi święty spokój. Chciałem żyć, cieszyć się wolnością, mieć dziewczynę. Miałem dwadzieścia lat, świat stał przede mną otworem, byłem w studium teatralnym i chciałem piąć się wyżej. Miałem ideały, marzenia, zainteresowania. Kochałem muzykę rockową, trzy

razy z rzędu byłem w Jarocinie na festiwalu, śpiewałem i grałem na gitarze pieśni Kaczmarzkiego, Stachury. Myślałem, że swoje życie naprawdę zwiążę z teatrem lalkowym, a może nawet spróbuję zdawać do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, o czym zawsze marzyłem. Przeszkodą było jednak moje zdrowie, nie mogłem normalnie funkcjonować, bo towarzyszył mi ciągły ból i cierpienie związane z chorobą. Robiło mi się niedobrze na myśl, że miałbym zostać na stałe w tym domu na wsi, gdzie niektórzy z jego mieszkańców to prości ludzie, zagonieni przez Kacmajora do pracy fizycznej. Czułem podskórnie, że jestem otoczony szczególnymi względami tylko na początku, że później zostałbym zaprzężony do pracy fizycznej jak wół, że byłbym jedynie małym trybikiem w maszynie zboru. Owszem, spotkałem tam kilka fajnych osób, z którymi dało się pogadać, ale byli i tacy, od których w normalnym życiu uciekłbym daleko. Byłem całkiem z innej bajki.

Ostatecznie wyjechałem z Majdanu po dwóch dniach z ogromną ulgą i postanowiłem nigdy tam nie wracać.